

*Młoda Sasha ucieka przed Rosjanami i próbuje ułożyć sobie życie w Polsce.
Tymczasem Lena często wraca we wspomnieniach
do czasów młodości i krwawych łun na Wołyniu...*

GRANICE WOJNY



MARCIN PILIS

LIRA
WYDAWNICTWO

GRANICE WOJNY

MARCIN PILIS

GRANICE WOJNY

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-30-2

ROZDZIAŁ 1

Ukraina, Wołyń Zachodni

1.

Światło każdego dnia jest takie samo. Lena często wygląda przez okno w kierunku furtki i widzi poblądłe podwórze, oczy nie przenoszą już mocnych barw. Bywają chwile, kiedy ma pewność, że rozpada się od środka, a ciasno ugniecione w ciele organy rozluźniają więzy. Lecz potem nadchodzą chwile, kiedy mogłaby biec do tyłu, pamięcią sięgając w głąb siebie, prędko i bez ustanku. Tkanka już obumiera, ale umysł nadal sprawny. Najczęściej jednak siedzi tylko zgarbiona nad stołem. Wpatruje się w niewidzialne — sponad blatu, zza firanki. Poprawia okulary, nie szukając w obrazach detalu, tylko światła, w którym skrywa się przeszłość.

Przemienił się świat wokół niej.

Ten świat właśnie zbliżał się do końca.

Z perspektywy ponad dziewięćdziesięciu lat Lena obserwuje znikającą w dali płaszczyznę swego świata-życia. Czasem widzi daleko, a innym razem nie potrafi sięgnąć poza kilka ostatnich godzin — wówczas jest pewna, że to kolejny etap zanikania jej jako osoby. Wtedy Lena sama przed sobą czuje się obca i żałuje, że nie ma już

nikogo, komu mogłaby się zwierzyć; że nie potrafi znaleźć odpowiedzi na pytanie o to, czym jest ów tajemniczy mechanizm, który postrzega jako siebie samą.

Jak nazwać to coś, czym uważam, że jestem, a co wkrótce przestanie istnieć? — zastanawia się Lena, wyglądając przez okno. Jest wystarczająco stara, aby mieć prawo do takich pytań. Dawniej pytała o poczucie wolności, naturę zmysłów, świadomość i sądziła, że panuje nad życiem, rozumie je, bo jest sobą, tak jak każdy człowiek. A teraz, u kresu, tak blisko końca, wszystko to — umysł i ciało, duchowość, zagmatwana pamięć, pragnienia, emocje, zmysły — zobrazowało się jako obcy, zawiadujący nią mechanizm, nad którym nie ma kontroli. To ona jest tym mechanizmem, jest swoją własną obcością. Była nią przez całe życie.

Jeśli lękałam się śmierci, to chyba tego jej zbliżania się, które z każdym krokiem odziera mnie ze złudzeń, bo na koniec spod tego zgiełku, stosu chwil, którymi byłam, wyziera ostatnia forma obcego, skrytego w środku mechanizmu, a ja nadal nic o nim nie wiem — myśli nieraz Lena. Na starość gubimy siebie, nie zostaje z nas prawie nic, bo jesteśmy tylko powierzchnią. Właśnie wtedy ze środka wydobywa się w całości ta obca forma, o której przez całe życie nic nie wiedzieliśmy. A przynajmniej ja nie wiedziałam.

Lena nie lubi świadomości czegoś obcego w sobie samej. Dlatego w świetle dnia szuka ukrytej przeszłości, ucieka w nią jak większość starych ludzi, ponieważ te różniejszość jest zbyt naga.

Bywają dni, kiedy zamyśla się tak bardzo, że nie słyszy pukania ani kroków, więc jest najzupełniej zdumiona, gdy tuż przy niej staje nagle Żenia i kładzie na stole siatkę pełną zakupów. Wyłania się znikąd, wchodzi do domu tylnym wejściem, więc Lena nie może go zobaczyć. To dobry chłopak, pomaga jej. W ubiegłym roku zastąpił dziewczynę, która wyjechała do stolicy, i zaczął zaopatrywać Lenę w potrzebne rzeczy za dość dobrą opłatą z jej renty po mężu.

— Dzień dobry, pani Ołeno, zaraz napalę, żeby ciepła woda była — wykrzyknął jej do ucha w dniu, kiedy wreszcie puściły mrozy, a ona wpatrywała się w niebo nad ulicą, myśląc, że dziś mniej bieżęnców niż wczoraj, tak jakby już poznikać mieli na zawsze. Maj nie był zbyt ciepły, ale można było mieć nadzieję, że bardzo zimno już nie będzie.

— Napal — odparła Lena. — Napaliłabym sama, ale jeszcze ciepło.

Żenia roześmiał się głośno i powiedział coś o dawnych pokoleniach, czego nie dosłyszała, po czym wybiegł do kotłowni, trzaskając drzwiami.

Zerknęła do siatki. Były w niej wszystkie potrzebne produkty, a także lekarstwa, o które prosiła.

— Z tym to będzie trudno, pani Ołeno, wie pani, teraz wojna — stwierdził dwa dni wcześniej chłopak. — Zrobię, co się da, ale nie wiem, co się uda załatwić.

A jednak coś mu się załatwić udało. Będzie miała zapas, na jakiś czas wystarczy. Powoli podniosła się z krzesła i zaczęła rozpakowywać zawartość siatki. Robiła to

ostrożnie, gdyż w ostatnich tygodniach w prawą rękę weszło dygotanie. Trudno jej było nad tym zapanować i w końcu przestała się starać.

Żenia wrócił po dziesięciu minutach, mówiąc, że już napalone i dołożyć będzie trzeba za jakieś dwie godziny. Powkładał zakupy do lodówki i nastawił wodę w czajniku. Za każdym razem, zanim wyszedł, robił jej herbatę. Omiótł całą podłogę i pościarał z kredensu, potem zbadał kaloryfery, by stwierdzić, że za moment będą ciepłe, czego Lena nie dosłyszała, jak wielu innych wypowiedzi Żeni, ale nie dała tego po sobie poznać. Kiwała więc głową, udając, że wie, co mówią jego usta, zadowolona, że może okazać młodemu człowiekowi uprzejmość.

Światło dnia lekko przybladło.

Lena odwróciła spojrzenie do okna. Tak — stwierdziła w myślach, błędnie, tylko dlaczego o tej porze? Tak wcześniej. Dlaczego?

— Pani Ołeno, to ja już biegnę — krzyknął, a ona potaknęła głową, tym razem usłyszawszy każde słowo. — A telewizor pani włączyć? — spytał jeszcze na odchodnym i nie czekając na odpowiedź, sięgnął po pilota i zaczął przełączać kanały.

Lena przypatrywała mu się uważnie, na ile pozwoliły jej oczy, a w końcu spytała:

— No mów. Co tam jeszcze? — Chrząknęła, gdyż słowa z trudem przechodziły jej przez gardło, nie zawsze tak wyraźne, jak by chciała. — Widzę, że nie możesz się wygadać.

Chłopak położył pilota tuż przy jej ręce. Miał nieco zaczerwienioną twarz, zapewne z podenerwowania. Przebywał przecież w domu Ołeny Taraszuk. Wszyscy w Połapie wiedzieli, że to już może ostatni jej rok na ziemi, że tam już Pan ją zabierze wkrótce, a młody Żenia nie chciał być tym ostatnim, który widział ją żywą.

Tak sobie to Lena wytłumaczyła, ale już po chwili okazało się, że powód był inny.

— Chciałem to wcześniej pani powiedzieć, ale jakoś... nie byłem pewien. Ale teraz już wiem. Postanowiłem się do wojska zaciągnąć. Wzięli mnie, chociaż trochę się boczyli, że jestem za młody, no ale wzięli. Za kilka dni wyjeżdżam. Na pewno kogoś znajdę na zastępstwo.

Tym razem Lena też usłyszała i zrozumiała każde słowo.

— Dobrze, dobrze — odparła cicho i uśmiechnęła się do chłopaka, który wydawał się bardzo skrupowany sytuacją.

Bładość dnia przygasła w jej oczach, światło znów stało się takie jak zawsze.

W telewizji pokazywali zniszczone budynki, pożary, poturbowane ciała. Komentator emocjonalnie relacjonował ataki rosyjskich wojsk, a po chwili na ekranie ukazała się mapa z zaznaczonymi obszarami agresji i miejscami ukraińskiego oporu. Najnowsza wiadomość mówiła o ataku raketowym w obwodzie rówieńskim.

— Jak mi się uda, to przyjdę jeszcze jutro, pojutrze — dodał głośno Żenia, ale ciągle stał ze wzrokiem wbitym w ekran telewizora. Na twarz wypłynęła mu zgromadzona

w środku złość. — Skurwysyny! Niech pani patrzy, pani Ołeno! Niech pani patrzy! Jak tak można?! Widziała pani kiedy coś takiego?!

Pokiwała głową na znak, że słyszy wszystkie jego słowa.

— Tak, tak. Widziałam, widziałam — powiedziała, ale cicho i niezbyt wyraźnie, więc tym razem to Żenia, wpatrzony w telewizor, nie dosłyszał.

W ostatnich dniach Lena zapominała, że trwa wojna. Dygotanie, co weszło jej w rękę, czasami przynosiło ból izolujący od świata. Od wojny izolujący. W telewizji była to podniecająca widzów sztuka systematycznych działań, najwyższa forma ludzkiej koordynacji. Rozmach wielkich ofensyw płynący z ust strategów. Później nadchodziły obrazy cierpienia i śmierci, w które właśnie wpatrywał się Żenia. Nadal coś mówił, przejęty, ale nie słyszała dobrze. Światło znów bladło. Chłopak machał rękami i kłął.

Brutalna aktywność młodych pokoleń — pomyślała Lena, przypominając sobie swoje ostatnie zapiski. Te sprzed dziesięciu lat, kiedy jeszcze była zdolna wyraźnie pisać. Później zrezygnowała z tego, i tak napisała już to, co miała do powiedzenia.

— Do widzenia, pani Ołeno — krzyknął Żenia, wyciągając do niej rękę. — Idę na wojnę.

— Idź, idź — odparła Lena, kiwając głową. — Idź. Dziękuję.

— Przyjdzie nowa osoba — dodał jeszcze głośno. — Już mam nawet jedną na oku. Jutro to jeszcze nie, ale pojutrze tu zajrzy.

— Dobrze, dobrze — rzekła Lena, a chłopak puścił jej dłoń, ale stał nadal przy stole, nieco pochylony, głowę odwrócił w kierunku telewizora.

Zapewne chciał, żeby mu coś powiedziała dobrego, bo siedł w końcu na wojnę. Czuła to. Żenia wychował się bez rodziców, dziadków nie znał, dorabiał tu i tam. Brakowało mu słów o tym, że nigdy już mogą się nie zobaczyć, bo umrze tam, daleko, poza horyzontem jej świata, może wcześniej niż ona. Samotny chłopiec bez dziewczyny, któremu Lena, już nad grobem, może powiedzieć coś dobrego. Bo idzie przecież na wojnę.

Kiedyś może i by mogła być mu dziewczyną, co macha ręką przed rozstaniem, łzę roni, a potem czeka w ciszy, sama czeka, samotna. Kiedyś tak, mogłaby taką być dziewczyną. Kiedyś nawet prawie taką była.

Żenia jeszcze raz powiedział coś, czego nie dosłyszała, a następnie wyszedł frontowymi drzwiami. Patrzyła na niego, jak zamyka za sobą furtkę, spogląda jeszcze w stronę okna, za którym go obserwowała, a później odchodzi.

Światło dnia pojaśniało. Lena na moment przymknęła oczy, a kiedy je ponownie otworzyła, ze światłości wyłoniły się obrazy, nieco przymglone, na wpół przezroczyste. Plecy chłopaka, który nagle odwraca się i podchodzi do niej. Zapach tytoniu bije od czarnej, skórzanej kurtki. Lena drży ze wzruszenia pośrodku otulonego ciemnością pola. Wyśniony Dmytro jest przy niej, śmieje się głośno, mówiąc, że narodził się tylko dla niej; obejmuje ją, a ona rzuca mu się w ramiona. Mogłaby oddać wszystko, co ma, teraz, w takiej chwili, gdy twarz mu jaśnieje, a głos

drży niskim półszepem. Cóż z tego, że on musi zaraz iść, czekają na niego chłopaki z kurenia. Znaczenie ma tylko ta chwila. Nigdy cię nie opuszczę — mówi Dmytro w pamięci Leny, powtarza to kilka razy, z naciskiem, a jego dłonie wędrują po jej plecach. A potem żegnają się najczulej, jak tylko można się żegnać, i chłopak rozpląwa się w przestworzach wołyńskiej nocy. Lena patrzy za nim, potem wraca do domu, uszczęśliwiona, a jej siostra Marysia od razu pyta o rodziców. No cóż, pojechali układać się z banderowcami, niedługo już powinni wrócić.

Przeszłość zdaje się skrywać w jasności dnia. To jest ta przeszłość, którą Lena sobie ceni, taką wybiera. W odróżnieniu od przeszłości skrytej w mroku nocy. Od tej się odwraca, broni się przed nią, zagłusza ją głośno grającym telewizorem.

Wystarczająco długo nosiłam ją w sobie — pomyślała któregoś dnia, parę tygodni po śmierci Saszy, jej rosyjskiego przyjaciela.

— Tyle lat spędziliśmy razem; wiem, że niedługo moja kolej. Twoja pewnie też, ale jeszcze tu zostaniesz. Już tak długo byłaś na straży, już wystarczy. Odetchnij od tej ciemnej przeszłości. Rusz się. Wypuść myśli w swoje strony. Ciałem już tam nie zajdziesz, nie dojdiesz już do Pogranki, ale myślą tak. Idź więc. Przypomnij sobie wszystko tak, jak tylko chcesz. To ci się należy na ostatnie lata, ile tam ich zostało. Uczyni swój świat znośnym, zabarw go na nowo.

Jedne z ostatnich jego słów. Tyle lat spędzili razem, aż ją opuścił, a ona pozwoliła mu odejść w pustkę, do

której i jej blisko. Była mu wdzięczna za to, co powiedział. Postanowiła nie stać już na straży pamięci, ale wrócić do siebie samej. W ostatnich latach życia zapragnęła na nowo odkryć własną przeszłość. Odkryć to, co było do odkrycia lub czego do odkrycia nie było.

W jej wspomnieniu rodzinna wieś Pogranka mieni się pięknymi barwami, przesiąknięta cudem życia, odgłosami codziennych prac, krzątaniem się matki, warkotem motocykla ojca lub szczęśliwymi głosami jej rodzeństwa, Marysi i Małego Bogdanka. Dziś jest już zbyt niedołęzna, aby udać się do wsi piechotą. Jeszcze kilka lat temu była zdolna przebyć dwa kilometry i znaleźć się w miejscu, gdzie przed kilkudziesięciu laty stała Pogranka, a gdzie obecnie rosną tylko drzewa i trawy; gdzie napotkać można tylko chłodny wiatr. Zachodziła tam regularnie, aż w końcu zabrakło sił. Od lat więc pozostaje jej wyobraźnia, dzięki której znów trafia do rodzinnego domu, a ukochany Dmytro, ukraiński chłopiec z sąsiedniej Połapy, wystawia jej urodę i kocha jak kochanek z najlepszych romansów. Kochałby dalej, gdyby nie moc dziejów, miazdząca na swej drodze ludzką ufność.

Ufność w to, że rodzimy się i umieramy w tym samym własnym świecie.

Czasem tylko w chłodne wieczory, gdy za oknem mocno dmie, Lenę przeszywa dreszcz, bo spomiędzy tkanych przez nią wspomnień nagle wyzierają inne — z ciemności, z ciemnych zwałów się wychylają, tak samo barwne i przekonujące, tak wyraziste, że Lena nie jest już pewna, które z nich są prawdziwe. Dmytro ma inną twarz,

a rodziców nigdzie nie widać, z dali dobiegają dźwięki wystrzałów, a z mroku wynurzają się twarze chłopów z widłami w rękach. Wspomnienia się mieszają. Na łące pod wsią Dmytro nie uśmiecha się do niej, tylko mówi, że już musi wracać do swoich, do chłopaków z oddziału. Niedawno przyszli z za rzeki, skąd nad horyzontem unosiły się łuny płonących wsi, ślad ich rytualnego przemarszu. Idą i palą. Taki jest rozkaz i taki jest on, jej wielka, niespełniona miłość — odchodzi, znika w ciemności, już go nie ma.

A potem pamięć Leny znów jest inna. Uśmiech na jej twarzy, uśmiech starości śpiewającej młodość przebija delikatny, prawie niezauważalny spomiędzy zmarszczek. Niknie na moment, aby zaraz się pokazać, jakby obraży w starym umyśle, w znikającym umyśle Leny zmieniały się i przepychały między sobą.

Czemu do mnie wracasz? — myśli Lena niekiedy. Czemu wracasz po tylu latach? Może to dlatego, że teraz ja zmierzam ku końcowi, do tej samej czeluści, z której się wyłoniłam. Więc dlatego? Sama cię wzywam przed końcem, mój Dmytro sprzed tylu, tylu lat.

Teraz też tak mogła pomyśleć... Dojrzała nieostro, jak Żenia ostatni raz się ogląda, a potem jego postać chowa się za drzewami. Na zawsze. Żenia to taki Dmytro, tylko prawie osiemdziesiąt lat później. On też poszedł na wojnę. On też...

Światło za oknem zbladło w jej oczach. Teraz już ostatecznie została sama.

2.

Chmury zdawały się dotykać wysokiego dachu. Z daleka dom wyglądał na zadbane. Otaczały go niskie drzewa i rosnące gdzieś krzewy; ciemnoszare ściany mocno wryły się w ziemię, nadając budowli charakter trwałej i mocnej konstrukcji. Duży plac pokryty był zbutwiałą ubiegłoroczną trawą, która niedawno wyłoniła się spod śniegu. Na prawo wznosiła się niewielka szopa, kamienna, zdradzająca swoje przedwojenne pochodzenie.

Sasha, dziewczyna dwudziestojednoletnia, stała lekko pochylona przed masywną furtką. Obserwowała dom przez pewien czas, aż podjęła decyzję i nacisnęła klamkę. Rozległo się skrzypienie. Zamarła i zaczęła nasłuchiwać. Kółka podróżnej torby zapadły się w wąskim rowku. Nie usłyszała ujadającego psa, czego obawiała się najbardziej, ani niczego, co mogłoby ją zaniepokoić. Weszła na teren posesji i zamknęła furtkę za sobą. Odwróciła głowę i popatrzyła na drogę, w stronę drewnianej cerkwi, której wieża widoczna była z niemal każdego zakątka wsi. Lustrowała uważnie chodniki po obu stronach jezdni i sąsiednie zabudowania. Było chłodno i cicho.

To jednak nic nie znaczy. Sasha już słyszała, jak głęboka cisza w jednej chwili przemienia się w buchający dymem, najgłośniejszy z możliwych wstrząs. I nagle świat odmieńnia oblicze. W ułamku sekundy, jak z innego wymiaru, wydobywają się siły i dźwięki niosące śmierć. Eksplozja jest jak wybebeszenie rzeczywistości, rozdarcie tej cichej aury świata zanurzonego w czasie, bo kolejny moment

na drodze życia, następny nieprzewidywalny moment w czasowej sieci — to erupcja niewidzialnych mocy. Cały czas świata sprowadza się do niewidzialnego napięcia, sił skumulowanych jak na dnie wulkanu. A wojna wszystko to wydobywa na wierzch, wyciąga z głębokich pokładów losu, którego nikt nie może znać. Wojna wszystko to unaocznia, a los przestaje być wyczuwalnym podskórnie układem zdarzeń niosących każdego w swoją stronę. Staje się bezwstydnie obnażony.

W pamięci Sashy głęboka cisza zwiastuje coś okropnego, bo sama sobą nagina trajektorie pocisków, aby lądowały w jej ukrytym sercu.

Dlatego Sasha zdecydowanie woli dźwięki, choćby ze smartfona, uspokaja ją szemrząca w tle muzyka, pogawędki stłoczonych grup ludzkich, odgłosy pojazdów. Ma wówczas wrażenie, że dookoła jest bezpiecznie.

Chwyliła rączkę torby drugą dłonią i schylona podeszła do drzwi wejściowych. Były stare, jak cały dom. Znowu musiała się pochylić, w boku bolało ją bardziej niż wczoraj. Nabrała powietrza i odetchnęła głęboko.

Nie dostrzegła dzwonka, więc zapukała, ale drzwi okazały się grube i stłumiły odgłos. Uderzyła mocniej, zaciśniętą pięścią, kilka razy. Też nic.

Po kilku minutach czekania i walenia w drzwi zapaliła papierosa i wyjęła smartfon. Sprawdziła lokalizację. Niestety, nie działała, mimo iż w te rejony wojna jeszcze nie zdążyła dotrzeć w swojej pełnej krasie. Sprawdziła numer na ścianie — to była ta sama ulica co na kartce, wszystko wskazywało na to, że trafiła we właściwe miejsce.

Dotknęła prawego boku. Pod lekkim naciskiem bolało mocniej. Usiadła na schodach i dokończyła papierosa. Ulicą przejechały w tym czasie trzy samochody, co ją uspokoiło, mimo iż uważnie wpatrywała się w każdy z nich. Okoliczne domy stały oddalone o parędziesiąt metrów. Dostrzegła ludzi na jednym z placów. Coś przynosili, jakieś podłużne bale. Dobiegły ją pojedyncze słowa. Zauważyła, że patrzą na nią, wymieniają uwagi, zapewne na jej temat. Po chwili zniknęli w środku. Chłopy w grubych swetrach. Takich jak oni bała się instynktownie. Nie musiała wiedzieć, jacy są naprawdę, bała się na sam ich widok.

Przyszło jej na myśl, że nie powinna się dziwić. Jest obcą osobą, w takiej wiosce od razu to widać, ludzie się interesują. Nawet ten drugi, co ją wioził i wysadził nieopodal, dopytywał się, skąd Sasha jedzie i po co tutaj, czemu nie od razu do Polski, jak już chce uciekać. Po co tak zbacza, przecież tu, w Połapie, nic nie ma, czego tu szukać chce. Jechali razem kilkadziesiąt kilometrów, a ona widziała, jak nieraz zerkał na jej nogi, później biegi zmieniał tak, jakby zamierzał dłoń przesunąć nieco w prawo, w jej stronę. A może tak jej się tylko wydawało? Teraz nie miało to już znaczenia. Mężczyzna odjechał, skręcił do innej wsi, a ona szła jeszcze trochę, mijała postawiane wzdłuż drogi domy i całe zagrody, aż w końcu zatrzymała się przed domem, który musiał należeć do Ołeny Taraszuk.

Im dłużej siedziała na schodach, tym mniej chciało się jej wstawać. Ogarniała ją coraz większa słabość. Ból

w boku wibrował i rozlewał się na cały tułów. Potrzebowała odpoczynku, bezruchu, aby tam w środku wszystko się ułożyło od nowa. Żeby jej organy zgodnie się do siebie dopasowały.

Drogą jechał samochód — wielka czarna limuzyna. Sasha wstrzymała oddech, bo wyglądało, jakby zwolnił na wysokości domu. Nie było widać, kto jest w środku. Auto zniknęło za drzewami, a dziewczyna zgasiła papierosa.

Pewnie mam zwiady — pomyślała. Może coś sobie ubzdurałam. Właściwie skąd mi to przyszło do głowy, że mogliby wiedzieć, gdzie jestem? A już na pewno nie jechałoby takim autem.

Podniosła się, czując, jak ból ustępuje, oddaje jej trochę ciała i wycofuje się do swojego epicentrum. Pomasowała bok i jeszcze raz zapukała. Znów nic.

— Może ona nie żyje — powiedziała na głos.

Ołena Taraszuk stała już nad grobem, mogła umrzeć w każdej chwili, nie ma żadnej gwarancji, że jeszcze tu mieszka. Jakiś czas temu to tak, to jeszcze, ale teraz życie nic niewarte, zwłaszcza takie stare.

Zeszła z werandy i ruszyła za dom. Po drugiej stronie placu rosły gęsto młode drzewa, niemal jak w lesie albo niewielkim zagajniku. Poszukała wejścia i je znalazła za prowadzącą w dół wnęką. Były to małe drzwi, jak do piwnicy. Nacisnęła klamkę i zajrzała do środka.

— Halo! — krzyknęła. — Dzień dobry.

Nikt nie odpowiedział. Wewnątrz było dość ciemno, światło wpadało jedynie przez wysoko ulokowane nieduże okno. W powietrzu unosił się zapach węgla i stęchlizny.

Zauważyła kilka schodków, a za nimi kolejne drzwi. Przeszła przez nie i znalazła się w korytarzu, również mocno zaciemnionym.

— Halo! — krzyknęła ponownie, ale w całym domu panowała cisza.

Ruszyła powoli w kierunku następnych drzwi. W domu dawało się wyczuć specyficzny zapach starości, który przywołał w pamięci Sashy obraz babci, ale ten dobry obraz, sprzed bombardowania. Ona też miała taki zapach.

Nagle usłyszała dziwne szuranie, a potem zza drzwi naprzeciwko dał się słyszeć stłumiony głos kobiety.

— Tutaj.

Sasha znieruchomiała, a po jej ciele przemknął dreszcz. Jakby babcia wołała, niemal tak samo zabrzmiało to słowo. Pomyślała, że głosy starszych osób muszą się do siebie upodabniać z każdym kolejnym rokiem coraz bardziej. Babka była prawie tak stara jak Ołena Taraszuk.

— Tutaj, przyjdź tutaj — ponownie rozległ się głos.

Kobieta siedziała na łóżku. Pokój kiedyś musiał być sypialnią małżeńską. Stało w nim szerokie łóżo, nad którym wisiały obrazy świętych, po drugiej stronie znajdowała się ciężka szafa. Ściany pomalowane były wałkiem, w kwieciste wzory, moda sprzed paru dziesiątek lat. Podłoga skrzypiała przy każdym kroku.

— Dzień dobry — powiedziała Sasha. — Przepraszam, że tak weszłam, ale...

— Dobrze, dobrze — przerwała jej starsuszka i uniosła rękę. — Wiem, wiem.

— Pani Ołena Taraszuk?

Kobieta była nieduża, wydała się Sashy skurczona, skębiona w sobie. Jakby się chciała w sobie zamknąć. Przed światem zamknąć — przemknęło jej przez głowę.

— Tak, tak — odparła kobieta, sięgając po opartą o łóżko łaskę. — Trochę się musiałam przespać. Popołudniami tak sypiam.

Mówiła dość cicho, ale zaskakująco wyraźnie, nie tak jak babcia, której pod koniec już prawie nie dało się zrozumieć.

Podniosła się z pomocą laski i powoli minęła stojącą w progu Sashę. Szurała po podłodze grubymi kapciami, przypominającymi te, które zakłada się na buty w niektórych muzeach. Jak na swój wiek poruszała się dość pewnie i szybko.

Sasha podążyła za nią prosto do obszernej kuchni, gdzie stał duży, wykonany z ciężkiego drewna stół. Wyposażenie było zwyczajne — ciemnoszary kredens i klasyczny piec z płytą, pod którą rozpalało się ogień, a obok kuchenka gazowa, na niej czajnik, dalej zlewozmywak z niepomytymi naczyniami. Na jednej ze ścian wisiał obraz Najświętszej Pani, jakiś nadmorski widoczek i nieaktualny kalendarz. Na szafce stał kineskopowy telewizor.

— No, siadaj, siadaj — powiedziała Ołena i sama zajęła miejsce przy stole. Wpatrzyła się w okno, z którego widać było furtkę i domy w oddali.

Na prostym stołku położona była poduszka. Sasha usiadła ostrożnie, bo krzesło zaskrzypiało pod jej ciężarem.

— Przepraszam, że tak weszłam, ale pukalam i nikt nie odpowiadał. Mam nadzieję, że się pani nie gniewa.